

665

TEATR

Witold
Filler

Teatr Współczesny wystawił „Grę snów” Augusta Strindberga, w reżyserii Macieja Prusa. Moda na Strindberga trwa w polskim teatrze, przybiera nawet na sile, obejmuje nowe tytuły.

Ironiczność obrazów, z jakich Strindberg nawiązał swoją „Grę” zdawał się zrozumieć Maciej Prus. I może bardziej o niej myślał, niż o symbolice całej opowieści. Stąd jego spektakl jest w większym stopniu komentarzem do tekstu Strindberga, niż tego tekstu interpretacją. Prus opowiada nam o dziwnym dramacie, którego bohaterowie poddani zostali prawom osobliwej grawitacji przekształcającej ich jestestwa aż do granic karykatury, a nawet poza tę granicę.

W rezultacie Prus gra kabaret, a nie utwór dramatyczny. Tylko czy to źle? Podejrzewam, że „Gra snów”, interpretowana z pełnym petyzmem wobec filologicznych i filozoficznych wybrzmień oryginału, byłaby nudziarstwem nie do wysiedzenia. Prus odrzucił cały ten balast psychoanalizy i dał, jak się rzekło, kabaret ze Strindberga. I wygrał.

Wygrał, gdyż jego przedstawienia słucha się z uwagą, chwilami z rozbawieniem, chwilami z podziwem.

Stylistyka przedstawienia nakazuje aktorom szukać dla siebie form nie do końca oczywistych, tonów zamanych, ruchów gonnambulicznych. Aktorów zdaje się bawić ta skala zadań.

Trudno w tym przedstawieniu wyodrębnić solistów, ale przecież jakże nie odnotować słów uznania dla Antoniny Gordon-Goreckiej, dla Krzysztofa Wlczorka, dla Henryka Borowskiego i innych.